

Aleksander Ciepiela

## NOWY ROK NA CHIŃSKIEJ WSI

### CHINESE NEW YEAR IN THE CHINESE COUNTRYSIDE

#### **Abstrakt**

Artykuł zawiera opis obchodów Chińskiego Nowego Roku na chińskiej wsi w prowincji Henan. Został napisany po podróży z Hong Kongu do miasta Puyang i podróży z Puyang na wieś.

**Słowa kluczowe:** Chiński Nowy Rok, Chiny, chińskie tradycje, Puyang, chińska wieś, prowincja Henan

#### **Abstract**

This paper contains a description of the celebration of the Chinese New Year in a Chinese village in Henan province. It was written after a trip from Hong Kong to the city Puyang and travel from Puyang to the countryside.

**Key words:** Chinese New Year, China, Chinese traditions, Puyang, Chinese countryside, Henan Province

W poprzednim tomie (nr 5, 2012 r.) Zeszytów Naukowych SWPR, serii geograficzno-turystycznej opisywałem moją pracę instruktora windsurfingu na Wyspach Kanaryjskich. Z pieniędzy zarobionych podczas nauczania Niemców windsurfingu postanowiłem zrobić coś bardziej wymagającego i pojechałem do Chin, aby spróbować nauczyć się języka chińskiego. Po pół roku nauki w pięknym mieście Kunming na południu Chin uznałem, że pół roku na Azję to

zdecydowanie za mało i złożyłem dokumenty na najlepszy uniwersytet w Hong Kongu. Dostałem się i jestem w tej chwili dokładnie w połowie studiów magisterskich na Hongkong University, a chiński udało mi się opanować już na poziomie B1 i w dalszym ciągu się go uczyć.

Chiny to bardzo dziwny, ale też bardzo interesujący kraj. Mieszka tutaj ponad dwa razy więcej ludzi niż w całej Europie, a jednocześnie wszyscy mają bardzo mocno zakorzenioną tożsamość narodową i co jakiś czas razem wychodzą na ulicę oznajmić całemu światu, jak bardzo nie lubią Japończyków. Chiny to trzeci świat, zmieniający się w błyskawicznym tempie w świat pierwszy. Bardzo szybkie bogacenie się niesie za sobą ogromne zmiany. Jeszcze 30 lat temu prawie wszyscy Chińczycy byli rolnikami, ludzi w miastach było mało, a bieda sprawiała, że wszyscy byli równi i mieli równie mało. Jednak 20–30 lat temu zaczęły się ogromne zmiany i ruchy ludności. Ogromna część Chińczyków postanowiła sprzedać ziemię, kupić za to bilet na pociąg w jedną stronę i jako bezdomny mieszkaniec drugiej kategorii przenieść się do miasta. Wielu z nich osiągnęło wielki sukces, kupiło luksusowe mieszkania, zagraniczne samochody i drogie ubrania. Dzisiaj większość ludzi w mieście to byli rolnicy, bardzo sprytni, inteligentni i zdeterminowani ludzie, bez żadnego wykształcenia.

Chińskie miasta się bogacą i mimo ogólnego chaosu, brudu i zanieczyszczeń, ludziom zaczyna się żyć coraz lepiej i zarabiają już na całkiem przyzwoitym, prawie europejskim poziomie. Równocześnie chińska ekonomia napędzana jest przez tysiące fabryk wypuszczających codziennie do atmosfery miliony metrów sześciennych trujących gazów. Całe zaplecze finansowe i administracyjne znajduje się w miastach, a co się dzieje z chińską wsią? Chińska wieś, jest taka jaka była 30 lat temu. Jest tam biednie i wesoło i nikogo nie obchodzi drogie samochody i torebki drogich zagranicznych marek. Różnica między wsią a miastami staje się z roku na rok coraz większa, a wiejska stagnacja i błyskawiczny rozwój miast pogłębia tę różnicę.

Mieszkając teraz w Hong Kongu, zamarzyłem, żeby zobaczyć i poczuć prawdziwą chińską wieś. To może być miejsce, gdzie uda mi się doświadczyć prawdziwej chińskiej kultury. Niestety dla obcokrajowca nie jest to takie łatwe. Nie dojeżdża tam komunikacja, a ludzie nie potrafią nawet mówić po chińsku. Kiedy powiedziałem o moich marzeniach znajomym z klasy, zostałem natychmiast zaproszony na

wieś koło miasta Puyang we wschodnich Chinach (ryc. 1). Okazało się, że jedna z moich koleżanek urodziła się na wsi w samym środku Chin i wraca do domu na Chiński Nowy Rok (w tym roku – styczeń 2014 r.). Sara po ukończeniu edukacji przeniósła się do Szanghaju. Udało jej się zarobić bardzo dużo pieniędzy, ale jej rodzice zostali na miejscu i w dalszym ciągu uprawiają warzywa.

Kiedy dowiedziałem się o pomysłe zabrania mnie na prawdziwą wieś, bardzo się ucieszyłem i natychmiast poprosiłem kolegę z klasy, mającego kontakty w chińskich kolejach, o kupienie dla mnie biletu



Ryc 1. Lokalizacja miasta Puyang (źródło Google Maps)

Fig. 1. Location city Puyang (source Google Maps)

na pociąg. Dopiero mając bilet, zacząłem się zastanawiać i pytać Sarę, jak przygotować się do wyjazdu. Dowiedziałem się, że na wsi nie mają, na przykład, w dalszym ciągu normalnego ogrzewania, a jak Sara dowiedziała się, że nie mam nawet ciepłych kalesonów, to złapała się za głowę i wysłała mnie na zakupy.

Sara to dzielna dziewczyna, ma trochę ponad 30 lat, ale widać, że sporo już przeszła w życiu. Zawsze chodzi bardzo energicznym krokiem, z włosami spiętymi w kucyk, a jej dłonie i przedramiona pokryte są okrągłymi bliznami. Pewnego dnia zapytałem ją, skąd się one wzięły. Od mrozu – usłyszałem. Okazało się, że blizny pochodziły od licznych odmrożeń na ciele Sary. Widząc moje przerażenie, podwinęła rękaw i pokazała mi kolejną większą bliznę na ramieniu. A tutaj ugryzł mnie pies – powiedziała. Ekstra – pomyślałem, będzie mróz–morderca i agresywne psy. Dwa dni później miałem już kupioną wielką puchową kurtkę, grube kalesony i 15 chemicznych ogrzewaczy do ciała.

Chiński Nowy Rok to najważniejsze wydarzenie w ciągu roku dla każdego Chińczyka. To jest równie wielkie święto, jak dla nas Boże Narodzenie, a zwane jest też tam inaczej Świętem Wiosny. Ten rok powinien być szczególnie ważny dla mnie, bo wkraczamy właśnie w „rok konia”, czyli znaku, pod którym się urodziłem. Według chińskiej tradycji powinienem założyć czerwone majtki i oczekiwać, że wydarzy się w moim życiu coś bardzo szczęśliwego.

Podczas obchodów Nowego Roku codziennie spożywa się ogromne ilości jedzenia, spędza się czas z rodziną, puszcza sztuczne ognie i petardy oraz rozdaje wszystkim prezenty w postaci czerwonych kopert z pieniędzmi. Chiński Nowy Rok to wydarzenie szczególne w Chinach, bo w tym czasie wszystkie rodziny spotykają się, a dzieci wracają do domu (fot. 1). Innymi słowy 1,4 miliarda ludzi wsiada w pociągi, samoloty, autobusy i samochody i próbuje w tym samym czasie gdzieś się przemieścić.

Zanim dojadę na prawdziwą wieś, mam na dwa dni zatrzymać się w małym miasteczku, gdzie zamieszkać u rodziny kolegi z klasy. Jest to rodzina członków lokalnego rządu, bardzo bogatych ludzi. Dopiero po dwóch dniach przeniosę się do domu Sary na kolejne kilka dni celebracji.

W tej chwili mam za sobą już pierwszy etap podróży, siedzę właśnie w bardzo nowoczesnej i czystej pierwszej klasie, w pociągu pędzącym 300 km/h. Zapakowanie się do pociągu, chociaż na początku wyglądało przerażająco, poszło bardzo sprawnie, a pomagało nam i kontrolowało sytuację wojsko. Siedzę przy oknie i podziwiam ten niezwykle świat. Jedziemy tylko 7 godzin, ale przejeżdżamy praktycznie całe Chiny w poprzek. Niektóre miejsca wyglądają jak gigantyczny, brudny plac budowy, a niektóre są bardzo malownicze, z łąkami, lasami i maleńkimi domkami, i gdyby ktoś mi powiedział, że znajdujemy się w Polsce, to na pewno bym uwierzył. Jedyna różnica jest taka, że nie ma miejsca, gdzie krajobrazu nie zakłócałyby ogromne słupy wysokiego napięcia i gdzie nie byłoby wszechobecnej mgiełki zanieczyszczeń i pyłu.

W telewizorze nad moją głową pokazują film, jak zostały zbudowane tory, po których jedziemy z ogromną prędkością, i z przerażeniem odkryłem, że śruby, na których zawieszono jest nasze życie, zostały przykręcone ręcznie przez wesołych chińskich robotników.

Dojechałem do miasta Puyang. Zatrzymałem się, tak jak było planowane, u kolegi z klasy. Yoyo ma młodszą siostrę, która boi się ze mną rozmawiać, i rodziców pracujących dla rządu chińskiego. Tata Yoyo jest między innymi odpowiedzialny za wymazywanie niebezpiecznych dla państwa obszarów z map. Jest mi tutaj bardzo miło, ale jest to jednak w dalszym ciągu miasto. Nieba nie da się zobaczyć, a szczególnie wieczorami sylwetki ludzi zlewają się z ciemnością. Spowodowane jest to gigantycznymi zanieczyszczeniami pochodzącymi z fabryk i ze spalania węgla na ogrzewanie. Nie jest wcale strasznie zimno i jakoś udaje mi się przeżyć.

Cały poprzedni dzień spędziłem na zabawach i jedzeniu. Cała rodzina jest ogromnie podekscytowana moją obecnością i co chwilę chwala się innym, że mają w domu białego. Przyszli już wszyscy sąsiedzi i pół rodziny i nikt nie ukrywa tego, że ich jedynym celem wizyty jest przez chwilę na mnie popatrzeć. Robią mi zdjęcia i siedzą, przyglądając się, nikt tu wcześniej nie wiedział obcokrajowca. Opisując mój wygląd, wcale nie mówią „ooo, jaki przystojny”, używają raczej stwierdzenia „oooo, jaki ładny!” – jakby opisywali jakiś ciekawy gatunek grzyba.

Miałem również okazję wziąć udział w miejscowej tradycji lepienia pierogów (fot. 2). Wszyscy razem usiedliśmy do stołu i wkładaliśmy mielone mięso z cebulą w kółeczka z ciasta. W pięć par rąk uporaliliśmy się w godzinę z całą miską mięsa, a potem jedliśmy najlepsze na świecie chińskie pierożki. Chińczycy wiedzą, jak robi się dobre jedzenie. Dla nich nie jest ważny ani wygląd, zapach ani konsystencja potrawy. Nieważne, czy składa się z kości czy wystają z tego pióra, ale jeżeli ma dobry smak lub jest pożywne, to znaczy, że jest dobre. Usłyszałem tutaj, że my, biali ludzie, jemy najpierw oczami, a jeżeli coś jest brzydkie, to nie dotkniemy. Chińczyk jest jak małe dziecko ciekawe świata, najpierw wsadza do ust, a potem się zastanawia, co to jest.

Podczas lepienia pierogów rozmawiałem z całą rodziną. Chociaż mój chiński jest cały czas ubogi, to daję radę się dogadać i podtrzymać rozmowę. Rozumiem też coraz więcej z chińskiego dziennika telewizyjnego i oglądając go, jestem mocno przerażony. W każdym dzienniku, o każdej godzinie jest pokazywane coś związane z Japonią. A to, że budują armię, a to, że kłamią w podręcznikach dla dzieci, a to, że piją jak świnie. Na słowo Japonia Chińczykom zważają się oczy i robią się naprawdę poważni. Poruszyłem temat Japonii i dowiedziałem się, że to są źli ludzie. Wszyscy wierzą, że będzie niedługo wojna. To nie są głupi ludzie, to są wysoko postawieni urzędnicy państwowi.

Dawno nie spałem tak dobrze jak tutaj, jest cicho, ciepło od kaloryferów (to rzadkość) i bardzo wygodnie. Wczoraj, po tym jak zostałem nakarmiony na śniadanie pikantnym kleikiem z fasoli i wieprzowiny, poszliśmy zwiedzać miasto. Mają tutaj cudownie piękne parki z bardzo interesującymi zabytkami. Zobaczyliśmy między innymi świątynię poświęconą jednemu z uczniów Konfucjusza. Oprócz tego widziałem różne posągi słynnych władców Puyang i odkryłem, że w każdym z opisów postaci jest wymieniony sposób jej odejścia z tego świata, a żaden nie był naturalny. Każdy z lokalnych władców został w bardzo wymyślny sposób zamordowany, a niewielu skończyło swój żywot w jednym kawałku.

Po zwiedzaniu parków i wesołego miasteczka poszliśmy na masaż (fot. 3). Po drodze byłem zaczepiany przez dziesiątki ludzi, ale nie było to nieprzyjemne. Przede wszystkim słyszałem ciągle

gdzieś zza mgły wydobywające się długie „haaaeeelo” z gejowskim zaśpiewem. Ani razu nie zobaczyłem jednak osoby wołającej, natychmiast się chowała lub uciekała, unikając konfrontacji.

Masaż stóp był bardzo przyjemny, a masażystki na koniec zrobiły sobie tradycyjnie ze mną zdjęcie. Po masażu, pogryzając palkę cukrową i plując do torebki przezutymi odpadkami, poszliśmy na kolejny posiłek.

Dzisiaj jest pierwszy dzień obchodów Nowego Roku. Całe ulice są zastawione czerwonymi ozdobami do kupienia, do powieszenia na drzwi, a co jakiś czas obok naszego domu wybuchają fajerwerki. Chińskie fajerwerki nie mają za zadanie być ładne. One po prostu mają robić dużo hałasu.

Dziś wieczorem opuszczam Puyang i jadę do domu Sary na prawdziwą wieś. Wszyscy są ogromnie tym podekscytowani, łącznie ze mną. W Chinach istnieje tradycja składania honorów sąsiadom,



Fot. 1. Dworzec w Zheng Zhou w Chinach  
Phot. 1. Railway station in Zheng Zhou in China



Fot. 2. Lepienie pierogów w Puyang  
Phot. 2. Making dumplings in Puyang



Fot. 3. Masaż stóp w Puyang  
Phot. 3. Foot Massage in Puyang

kłęknięcia przed nimi i składania pokłonów (przynajmniej tyle zrozumiałem). Dowiedziałem się, że jeżeli to zrobię, to stanę się częścią rodziny i dostanę od starszych koperty z pieniędzmi. Brzmi zabawnie, ale chyba zrezygnuję z kłęknięcia i składania pokłonów. Gdybym to zrobił, byłbym uznany nie tylko za część rodziny, ale też za przyszłego męża Sary.

Dziś o północy będzie Nowy Rok i wszyscy wkroczymy w bardzo ważny „rok konia”. Jestem na prawdziwej chińskiej wsi. Jest dokładnie tak, jak sobie zamarzyłem. Z Hong Kongu, miejsca o największym tempie życia na Ziemi, znalazłem się w miejscu, gdzie czas chyba wolniej płynąć już nie może.

Przyjechaliśmy na wieś samochodem razem z rodzicami mojego kolegi Yoyo. Dopiero jak wysiadłem z samochodu, dowiedziałem się, że ojciec Yoyo zdał egzamin na prawo jazdy dopiero dwa lata temu. To tłumaczy dość specyficzny sposób prowadzenia przez niego samochodu. Nasza średnia prędkość na olbrzymiej autostradzie nie przekraczała 30 kilometrów na godzinę. Jak udało się w końcu „rozbujać” samochód do 70 kilometrów na godzinę, to mama Yoyo zaczęła krzyczeć, żeby nie jechał tak szybko, bo zaraz wszyscy zginiemy. Ciekaw jestem, jak wygląda bezpieczeństwo ludzi w takim samochodzie w razie wypadku. Był to z zewnątrz piękny, nowy, bardzo elegancki VW z przyciemnianymi szybami. Wchodząc do środka można było spodziewać się wykończenia ze skóry, drewna i elektrycznie przesuwanych foteli. Wewnątrz był to jednak samochód, jak z innej epoki. Wykończeniem przypominał to, co jeździło na naszych drogach dziesięć lat temu i to jeszcze w wersji podstawowej.

Dojechaliśmy na miejsce, na autostradę wyjechała po nas Sara na maleńkim skuterze elektrycznym i kazała jechać za sobą. Prowadziła nas przez plantacje zboża jeszcze przypominającego trawę i mineliśmy kilka betonowych hal, w których hodowano grzyby. Po przejechaniu przez kilka maleńkich wiosek byliśmy w końcu na miejscu w wiosce z pięcioma budynkami i wielką górą śmieci pomiędzy nimi. Między śmieciami, drzewami i domami znajdują się wielkie kopce, są to nieoznakowane groby przodków moich nowych gospodarzy. Podobne kopce porośnięte trawą i bez żadnego oznakowania znajdują się w polu obok.

Dom rodzinny Sary wygląda dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałem, jadąc tutaj. Wszystko jest zbudowane z białej cegły, drzwi są drewniane i przypominają bramę do obory, ale nikt ich nigdy nie zamyka, podłoga to brudny beton, gdzie wszyscy pluja i rzucają odpadki, w kącie stoi łóżko z zawieszoną nad nim klatką z kanarkiem (były wcześniej dwa, ale jeden podobno zdechł), w samym centrum znajduje się piec – „koza”, a dach jest po prostu z kolorowej plastikowej wykładziny. Cały dom Sary jest zrobiony na chiński wymiar. Czułem się w nim jak człowiek, który wszedł do domku Hobbita. Szybko przyzwyczailem się, że muszę cały czas być schylony, żeby nie uderzyć w coś głową.

Po moim przyjeździe, w domu Sary zaczęli pojawiać się wszyscy mieszkańcy wsi, tylko po to, żeby na mnie popatrzeć. Spodziewałem się zobaczyć braci i siostry Sary i dużo młodych ludzi i dzieci. Odkryłem jednak, że wiek prawdziwych mieszkańców wsi jest bardzo dziwnie rozłożony. Większość osób miała na moje oko ponad pięćdziesiąt lat i jedynym nastolatkiem, jakiego spotkałem był kuzyn Sary w wieku trzynastu lat. Zdziwiło mnie też to, że kilka pań w starszym wieku nosiło na rękach maleńkie dzieci. Okazało się, że rodzice maluchów wysyłają je na wieś do dziadków, a sami pracują w mieście, przelewając od czasu do czasu pieniądze. Mieszkańcy wsi to przede wszystkim starsi ludzie lub małe dzieci (fot. 4). Wszystkie osoby w wieku produkcyjnym wolą jeździć taksówkami w Pekinie lub sprzątać biura w Szanghaju, niż uprawiać pszenicę na wsi.

Mieszkańcy wsi powoli wchodzili do domu i stawali naprzeciwko mnie, gryząc pestki dyni lub słonecznika. Kilka osób próbowało się ze mną porozumieć, ale z racji mojego totalnego braku znajomości lokalnego dialektu, szybko rezygnowali. Po chwili zostaliśmy posadzeni do stołu przez mamę Sary, maleńką Chinkę przypominającą uśmiechniętą piłkę, i na stole zaczęło pojawiać się jedzenie. Już tradycyjnie, przed posiłkiem poprosiłem o nalanie mi maleńkiej ilości lokalnej wódki, zwanej białym winem. Pojawił się przy mnie natychmiast tata Sary z kilkoma szklankami i zaczął nalewać. Tata Sary wygląda jak prawdziwy chiński rolnik (fot. 5). Ma czarne zęby i bardzo ciemną skórę, jest drobny i chudy i przez większą część czasu albo się śmieje, albo się uśmiecha. Po tym, jak ja

i reszta Chińczyków poprosiliśmy o nalanie tylko odrobinki tego śmierdzącego spirytusu, tata Sary wziął swoją szklankę i nalał sobie do pełna. Przystąpiliśmy do jedzenia, a tata Sary do picia. Kiedy my zdążyliśmy wypić mały łyżeczek „białego wina”, tata Sary kończył już całą szklankę. To świństwo ma prawie 60% alkoholu, a ten uśmiechnięty rolnik nie waży na pewno więcej niż 50 kg. Tak się biedak upił, że nie zdołał z nami nawet nic zjeść. Siedział przy stole, uśmiechając się i co jakiś czas wydając z siebie bardzo zabawny bełkot, którego nikt nie mógł zrozumieć. My jedliśmy chińskie przysmaki, a ja popijałem co jakiś czas ten zabójczy trunek, modląc się o to, żeby zabił on we mnie wszystkie zarazki.

Po obiedzie Yoyo z rodzicami wyjechali, a ja zacząłem moją wiejską przygodę. Życie tutaj płynie bardzo powoli. Część osób w domu siedziała, nic nie mówiąc, i tylko się na mnie patrzyła. Po jakimś czasie zacząłem się do tego przyzwyczajać. Po tym, jak już wszyscy zadali mi pytania i dowiedzieli się tego, co chcieli o mnie wiedzieć, zaczęła się gra. Główną rozrywką wszystkich starszych osób w Chinach i chyba jedyną rozrywką na wsi jest gra, która nazywa się Mahjong. Mahjong przypomina coś pomiędzy dominem, a grą w karty. Polega na dobieraniu po kolei kości z różnymi symbolami i zbieraniu grup po trzy takie same (fot. 6). Kto pierwszy uzbiera – ten wygrywa. Gra budzi ogromne emocje, bo według Chińczyków wymaga dużego sprytu i zdolności liczenia, a dla podniesienia temperatury gra się na pieniądze, nieraz wcale nie małe. Tak mijał mi wieczór, a kiedy mama Sary zobaczyła, że gra zaczyna mnie nudzić, zostałem zaproszony do składania złotych figur dla boga pieniędzy. Figury w kształcie łódek albo korony składa się ze złotej bibuły, a na Nowy Rok są one palone bogu w ofierze (fot. 7). Wszystko po to, żeby w Nowym Roku mieć więcej szczęścia (pieniędzy). Po złożeniu kilku wielkich toreb złotych figur poszedłem spać. Ponieważ nie ma bieżącej wody, zęby i twarz musiałem umyć w wodzie z miski, a o prysznicu nie ma nawet co marzyć. Zimą tutaj nikt się nie myje, jest za zimno, a przy braku ogrzewania może to być naprawdę niebezpieczne. Mój pokój znajduje się w budynku obok i jest przyjemny. Dzielę go z małym kuzynem Sary, ale mam swoje ogromne łóżko i w dodatku dostałem cudownie ciepły koc

elektryczny. Śpię przykryty dwiema ogromnymi kołdrami i jest mi naprawdę dobrze. Wystarczyło, że zamknąłem oczy i mimo wczesnej godziny już spałem.

Rano obudziły mnie wybuchy petard pod moim oknem. To taki subtelny sposób na pobudkę. Była siódma rano, a Sara krzyczała, że zaspaliśmy. Po dwudziestu minutach udało mi się w końcu wystawić jedną nogę spod ciepłego przykrycia, a kochana mama Sary przyniosła mi wtedy do pokoju miską z gorącym i jeszcze dymiącym popiołem z „kozy”, żeby nie było w pokoju tak strasznie zimno.

Jak tylko wyszedłem z pokoju, zaczęliśmy bardzo ważny rytuał strojenia domu i okolicy (fot. 8). Dostaliśmy czerwone kartki z napisami. Sara przetłumaczyła mi kilka, bo nie mogłem sobie poradzić z odczytaniem. Każda z kartek była przeznaczona w inne miejsce i na każdej było napisane coś dobrego na Nowy Rok. Dobre słowa powieszzone na domu i w okolicy mają przynosić domownikom pieniądze i szczęście. Dostaliśmy od mamy Sary wielką miskę kleiku ryżowego pełniącego rolę kleju i zmiotkę z gałęzi, i zaczęliśmy smarować wszystkie możliwe miejsca w okolicy. Czerwonych kartek było tyle, że do śniadania udało nam się zasiąść dopiero po ponad godzinie. Sarze i jej kuzynowi zajęło sporo czasu decydowanie, po której stronie drzwi powinna wisieć kartka i jaka kartka. Wytłumaczyli mi, że bardzo ważne jest to, żeby się nie pomylić. Niektóre kartki były przeznaczone nad drzwi, nad bramę, a inne mniejsze mieliśmy powiesić na drzewach w okolicy.

Zaraz po śniadaniu wsiedliśmy razem z Sarą na skutery elektryczne i pojechaliśmy zobaczyć największą atrakcję tego dnia, czyli targ, i spróbować zupy z barana. Zimą na skuterze elektrycznym jest koszmarnie zimno. Mimo ciepłego ubrania i chemicznych ogrzewaczy do ciała, na niewiele to się zdało. Na targu stałem się znów atrakcją. Wszystkie okoliczne wioski zjeżdżają się tutaj, szczególnie w piątek, żeby coś sprzedać lub kupić. Najpierw weszliśmy na targ warzyw, gdzie jak tylko gdzieś się zbliżałem, to natychmiast byłem otaczany przez całą grupę bardzo zaciekawionych Chińczyków. Sara kupowała warzywa i wkładała mi je do ręki, a ja za nią chodziłem i przyglądałem się wszystkiemu. Na targu wszystkiego można spróbować, ale patrząc na higienę, z jaką się obchodzą z ki-



Fot. 4, 5 Mieszkańcy wsi  
Phot. 4, 5 Villagers





Fot. 6. Gra w Mahjong  
Phot. 6. Playing Mahjong



Fot. 7. Składanie  
złotych figur  
Phot. 7. Making  
golden ornaments

szonymi warzywami i innymi przysmakami, nie odważyłem się włożyć niczego do ust (fot. 9).

Po kilku chwilach zaczęła za mną chodzić cała gromadka małych, bardzo zaciekawionych dzieci. Cały czas coś mówiły za moimi plecami, a jak się tylko odwracałem, to wybuchały bardzo głośnym śmiechem i uciekały. Nie mogłem się z tego nie śmiać. Wszyscy ludzie na targu też się na mnie patrzyli, ale nikt mnie nie zaczepiał, a jedyne słowa, jakie za sobą słyszałem to „lao wai”, czyli obcokrajowiec. Niektórzy wołali za mną – Amerykanin albo Rosjanin. Nikt tutaj nie słyszał o takim kraju, jak Polska, ale wiedzą, gdzie jest Europa, więc zawsze starałem się sprostować, skąd pochodzę. Na targu zobaczyłem między innymi wnętrzności świni leżące razem ze świńskimi ryjami. Chińczycy co jakiś czas podchodzili do tego i podnosili wysoko długie jelita, przyglądając się ze smakiem (fot. 10). Oprócz tego były tam rzeczy cudowne, czyli na przykład ręczna prasa do wyciskania oleju sezamowego lub zimowy fryzjer w namiocie.

Po zwiedzaniu targu poszliśmy na zupę z barana. Zupa była w ogromnej beczce z gotującymi się w środku wnętrznościami. Na sam widok zrobiło mi się niedobrze. Bardzo boję się rozchorować tutaj na żołądek. Na wsi nie ma normalnej toalety, a w celu załatwienia swoich potrzeb mieszkańcy wychodzą przed dom za postawioną tam ścianę. Za ścianą nie ma nawet dziury w ziemi, a stoi ona tam tylko po to, żeby z domu nie było widać osób załatwiających się. Nocą część mieszkańców ignoruje ścianę i wychodzi po prostu przed dom. W takich warunkach problemy z żołądkiem mogłyby być bardzo nieprzyjemne. W celu uniknięcia wszelkich nieprzyjemności nosiłem wszędzie ze sobą małą buteleczkę bardzo mocnego alkoholu. Przed każdym posiłkiem, włączając w to śniadanie, brałem mały łyżeczek i po skończeniu jedzenia popijałem na lepsze trawienie. Mocny alkohol skutecznie zabijał wszystkie zarazki i udawało mi się dzięki temu przeżyć, nie chodząc zbyt często za ścianę przed domem. Kiedy zobaczyłem, jak wygląda zupa z barana, to natychmiast zacząłem nerwowo popijać paskudny alkohol. Kucharz stojący koło beczki zaczął wielką chochlą nalewać zupę do miski, a drugi wielkim tasakiem kroił żołądki baranie. Grzecznie poprosiłem o brak wnętrzności w zupie. Jestem w stanie zjeść

wszystko, od kurzych łap po kacze głowy, ale wnętrzności cały czas nie mogę przełknąć. Zupa z barana smakowała i pachniała tak, jak świeży baran. Można by to porównać do zanurzenia twarzy w sierści barana i wzięcia głębokiego oddechu. Zupę jakoś przełknąłem, był to najślenniejszy przysmak w okolicy, ale jedząc, tak byłem przerażony, że wypilem trochę za dużo alkoholu i do domu jechałem elektrycznym skuterem lekkim zygzakiem z uśmiechem i uczuciem kręcenia się w głowie. Jak tylko wróciliśmy z targu, to mama Sary czekała już na nas z niespodzianką. Mieliliśmy lepić pierogi z nadzieją z... mielonych wnętrzności barana.

Gdy lepiłem pierogi, mama Sary zaczęła przygotowywać coś bardzo interesującego. Na jednej ze ścian w salonie rozwiesiła wielki dywan z narysowaną tabelką z różnymi poziomami i chińskimi napisami w środku. Chińczycy na wsi nie chodzą na groby swoich przodków, ich grobowce nie są oznakowane ani ładnie zbudowane. Oni oddają cześć swoim przodkom w inny sposób. Dywan rozwieszony na ścianie przez mamę Sary był czymś w rodzaju drzewa genealogicznego całej rodziny, zawierającym imiona osób, które już umarły. Podszedłem do dywanu i zacząłem mu się przyglądać. Zdziwiło mnie, że tylko dwa górne rzędy tabelki były wypełnione imionami. Zapytałem się Sary, dlaczego nie ma tam więcej imion i dowiedziałem się, że na dywanie mogą znajdować się tylko imiona przodków, którzy mieszkali w tym domu. Dziadkowie Sary przenieśli się z innej wioski do domu, w którym teraz mieszkała jej rodzina, dlatego dywan zawierał bardzo mało informacji o wcześniejszych jej przodkach. Po rozwieszeniu dywanu mama Sary zaczęła ustawiać na małym ołtarzu przed dywanem jedzenie i picie. Znalazły się tam pierogi, pomarańcze i banany, a nawet mała butelczka żubrówki podarowana wcześniej przeze mnie rodzinie. Obok tego wszystkiego został postawiony małeńki posążek na baterie, który grał w kółko tę samą buddyjską melodię.

Po tym jak ulepiliśmy pierogi i zjechała się reszta rodziny, mama Sary przygotowała obiad. Patrząc na higienę, jaka panowała w domu, i brak bieżącej wody, bardzo bałem się zarazków i grzecznie popijałem paskudny alkohol. Kiedy pierogi pojawiły się na stole, w domu zaczął roznosić się zapach baraniny i wszyscy przystąpili do mało ele-

ganckiego jedzenia. Ojciec Sary już tradycyjnie nalał sobie pełną szklankę bardzo mocnego alkoholu i zamiast cokolwiek zjeść – wypił ją duszkiem. Błyskawicznie pojawił mu się uśmiech na twarzy i zaczął bełkotać w sobie tylko znanym języku. W pewnym momencie zrobił się cały czerwony na twarzy i przestał oddychać. Z przerażeniem zacząłem wołać Sarę, żeby coś zrobiła. Jej ojciec przez dłuższą chwilę nie oddychał. Wyglądało to, jakby się czymś dławił, ale Sara wcale nie wyglądała na zdziwioną ani przestraszoną i zamiast w jakikolwiek sposób pomóc ojcu, zaczęła go głaskać po ramieniu. Po kilkudziesięciu sekundach zaczął znów oddychać, a jego twarz zmieniła kolor na naturalny czarno-brązowy. Wrócił mu też uśmiech na twarz. Całe zajście na nikim nie zrobiło wrażenia, tylko ja byłem przerażony. Ojciec Sary zazwyczaj zasypiał podczas kolacji i był kładziony do łóżka w salonie. Bojąc się, że znów przestanie oddychać, dyskretnie obserwowałem jego klatkę piersiową.

Po zjedzeniu pierogów i różnych innych „prysmaków”, włączając w to smażone świerszcze majowe (fot. 11), mama Sary przystąpiła do kolejnej części dekorowania ołtarza. Tym razem zamiast pomarańczy i bananów przed dywanem z imionami przodków pojawił się cały las silnie dymiących kadzideł. Mama Sary bardzo dbała o to, żeby wszystkie były zapalone i się dymiły, a ołtarz powoli zaczął zamieniać się w stertę popiołu. Gdy powietrze było już gęste od dymu nadszedł moment najbardziej wyczekiwany przez wszystkie dzieci. W Chinach rzadko kupuje się prezenty, znacznie bardziej pożądanym podarunkiem są pieniądze. Dlatego wszystkie dzieci i młodzież otrzymują od swoich rodziców i wujków czerwone koperty (czerwony przynosi szczęście) z pieniędzmi. Nie są to wielkie sumy, ale po podliczeniu zawartości wszystkich kopert jeden nastolatek może zebrać nawet kilka tysięcy złotych (w przeliczeniu na złotówki).

Po wręczeniu podarunków przystąpiliśmy do ulubionej zabawy wszystkich mieszkańców wsi, czyli wspomnianej już wcześniej gry w Mahjong. Nie rozumiem, jak można w to tyle grać, ale Sara wytłumaczyła mi, że w Chiński Nowy Rok gra się do rana. Powoli zasypiałem, ale postanowiłem, że wytrzymam przynajmniej kilka godzin. Jednak rozszyfrowywanie wszystkich znaczków znajdująca-



Fot. 8. Strojenie domu  
Phot. 8. Decorating the house



Fot. 9. Kiszone warzywa na targu  
Phot. 9. Pickled vegetables at the market

cych się na kościach zajmowało mi bardzo dużo czasu, co frustrowało grających. Chińczycy grę w Mahjong biorą na poważnie i dlatego nie miałem dostępu do stołu na długo.

Tak mijały godziny, a ja starałem się nie zasnąć. Wreszcie przed północą zaczęło się znów dzieć coś ciekawego. Mama Sary wyjęła dwie wielkie torby złotych papierowych łódek, które wcześniej złożyliśmy i wysypała je przed domem. Po usypaniu wielkiego stosu wszystko podpaliła i razem ze mną oglądała ofiarę składaną bogu pieniądza. Kiedy kopiec się wypalił, to mama Sary jeszcze wyciągnęła więcej złotego papieru i położyła go na żarzącym się popiele, a płomień znów uderzył w niebo. Po złożeniu ofiary mama Sary zapaliła kadzidło przed bogiem wszystkich bogów, którego ołtarz znajdował się po prawej stronie od drzwi, i wróciła do środka.



Fot. 10. Targ  
Phot. 10. Market



Fot. 11. Smażone świerszcze  
Phot. 11. Fried bugs

Ja niechętnie wracałem do domu, bo nie chciałem już oglądać gry w Mahjong. Na szczęście kolejna atrakcja miała miejsce chwilę potem. Mama Sary wyciągnęła noworoczne fajerwerki, bo zbliżała się północ i przychodził czas świętowania. Chińskie fajerwerki mają niewiele wspólnego z tym, do czego jesteśmy przyzwyczajeni w Europie. Przede wszystkim mają robić bardzo dużo hałasu, po to, żeby odstraszyć złe duchy poprzedniego roku. Fajerwerki dzielą się na te, które wybuchają na ziemi i te, które wybuchają nad ziemią. Jedne i drugie są mocno przerażające. Fajerwerki latające przypominają połączenie granatu z rakieta. Są stawiane na ziemi i po kilku sekundach wznoszą się na kilkadziesiąt metrów, żeby wstrząsnąć wszystkimi szybami na przestrzeni kilkuset metrów. Gdy mama Sary odpaliła pierwszy „granat”, to nie będąc przygotowany na wy-

buch, myślałem, że ogłuchnę. Po tym już cały czas chodziłem z rękami na uszach. Drugi typ fajerwerków to całe sznury petard, które kładzie się na ziemi i ręcznie odpala. Wybuch każdej petardy z powodzeniem mógłby urwać komuś palec lub mocno uszkodzić skórę, a lont, który się odpala, jest tak krótki, że daje czas odpalającemu tylko na zabranie ręki i szybką ucieczkę. Kiedy wybiła północ, spokojna wcześniej wieś i okolice zamieniły się w coś, co przypominało poligon wojskowy. Nie było ani sekundy bez wybuchu i można powiedzieć, że niebo eksplodowało bez końca.

Po fajerwerkach przyszedł czas na najbardziej wyczekiwany przeze mnie obyczaj. Tradycja nakazuje, że wszyscy domownicy mają obowiązek odwiedzić swoich sąsiadów i złożyć pokłon przed ołtarzem ich przodków. W domu zostaje tylko osoba najstarsza i przyjmuje gości. Sara razem ze wszystkimi młodszymi osobami wyruszała składać pokłony, a ja zostałem w domu z wesołym i ciągle pijanym ojcem Sary. Mama Sary rozłożyła przed ołtarzem wykładzinę i zabroniła nam po niej chodzić. Po kilku chwilach zaczęły schodzić się całe grupy wieśniaków. Wszyscy natychmiast po wejściu do domu rzucali się na wykładzinę przed ołtarzem i oddawali cześć przodkom. Trwało to za każdym razem tylko kilkadziesiąt sekund. Potem goście witali się z ojcem Sary i próbowali mu wręczyć papierosy. Ojciec Sary za każdym razem odmawiał z uśmiechem, a goście próbowali mu wcisnąć papierosy na siłę. Potem ojciec Sary częstował gości jedzeniem i role dokładnie się odwracały. W ten sposób mijały kolejne godziny, a ja z rozbawieniem oglądałem powtarzającą się ceremonię.

W nocy w domu zebrało się pełno ludzi i rozpoczęła się kolejna seria gry w Mahjong. Było to już ponad moje siły i poszedłem spać.

Następnego dnia wstaliśmy dosyć późno i zostaliśmy poczęstowani na śniadanie odgrzewanym jedzeniem z dnia poprzedniego. Potem Sara powiedziała, że chce odwiedzić swoją babcię. Zdziwiłem się i zapytałem, dlaczego babci nie ma razem z nami w domu. Ona nie należy do tej rodziny – usłyszałem. Okazało się, że rodzina męża staje się automatycznie rodziną żony, a żona w momencie wyjścia za mąż przestaje być częścią swojej rodziny. Narzeczony musi w sposób symboliczny wykupić swoją przyszłą żonę od jej rodziny, wręczając rodzicom na przykład dwie krowy lub cokolwiek innego

o dużej wartości. Mama Sary nawet nie zadzwoniła do swojej mamy, bo ona należy już do rodziny jej brata i to jej brat powinien się nią opiekować. Bardzo to dziwne. Okazało się, że brat mamy Sary był taksówkarzem w Pekinie i nie mógł wrócić na święta do domu. Z tego powodu Sara poczuła się w obowiązku odwiedzenia babci. Wsiadliśmy razem na skutery i pojechaliśmy do sąsiedniej wsi. Jeżdżenie na skuterze zimą to nie jest zbyt dobry pomysł. Myślałem, że już nigdy więcej nie poruszę palcami u rąk. Zdziwiłem się, że cała okolica była spowita gęstą, ciężką mgłą, ale wcale nie było wilgotno. Okazało się, że na niebie wybuchło tyle fajerwerków, że mgła z zanieczyszczeń stopniowo zamieniła się w gęsty dym.

Babcia bardzo ucieszyła się naszym przyjazdem. Mieszkała w domku bez podłogi i ogrzewania. Tak jak w domu Sary w sypialni był postawiony mały piecyk, dzięki któremu nie było tak strasznie zimno. Babcia była bardzo energiczną starszą kobietą i zamiast witać mnie tak, jak wszyscy inni, natychmiast posadziła mnie w salonie i zatrudniła do lepienia pierogów. Tak minął mi kolejny dzień na wsi. Powrót do domu nie był zbyt przyjemny, bo baterie w naszych skuterach elektrycznych zaczęły się wyczerpywać i musieliśmy w niektórych miejscach odpychać się nogami lub nawet iść na piechotę, pchając skutery.

Tego samego dnia wieczorem przyjechał po nas z miasta wujek Sary. Miał nas zabrać samochodem do domu na jedną noc, żebyśmy mogli wziąć prysznic. Jak dotarliśmy do jego wielkiej willi, to już nie miałem ochoty stamtąd wyjeżdżać. Było przyjemnie i nowoczesnie, a rzeczy, które kiedyś mi w Chinach przeszkadzały, były dla mnie w tej chwili obojętną ciekawostką. Jedzenie robaków, papierosy palone przy stole, plucie na ziemię i ogólne zanieczyszczenia nie przeszkadzały mi już tak bardzo, w perspektywie ciepłego prysznica. Po jednej nocy u wujka Sary mieliśmy wracać na wieś, ale ja poprosiłem o trochę więcej czasu w mieście. Człowiek szybko się przyzwyczaja do wygod.

Następnego dnia wspólnie z Sarą i jej bardzo miłą kuzynką zwiedzaliśmy miasteczko i pojechaliśmy do restauracji wujka Sary. Były to leniwe i bardzo przyjemne wakacje. Chińczycy z dumą pokazywali mi wszystko, co u nich najlepsze i każdy był bardzo pode-

kscytowany moją obecnością. Mogłem wreszcie się trochę dogadać, więc mi też było znacznie łatwiej.

Wzdłuż drogi, którą jechaliśmy samochodem do restauracji wujka, płynęła mała rzeczka o bardzo interesującym kolorze. Woda była mocno niebieska i przypominała wodę w oceanie, taką jak na pocztówkach z Malediwów. Bardzo piękny kolor, który natychmiast zwrócił moją uwagę. Okazało się, że nie tylko woda w rzeczce była niebieska. Wszystko naokoło było zabarwione na piękny lazurowy kolor, włączając w to liście i trawę.

Potem dowiedziałem się, że znaczna część wody pitnej w Chinach jest poważnie zanieczyszczona i rakotwórcza. Chińczycy winią za to rząd i Amerykanów. Na północy Chin zostało postawionych wiele fabryk, których budowanie jest surowo zabronione w Stanach Zjednoczonych. Dzięki temu Amerykanie mogą tanio kupować produkty, których inaczej nie mogliby wyprodukować. W ten sposób, w rozumieniu Chińczyków, to nie oni eksportują swoje produkty na Zachód, tylko Zachód eksportuje do Chin swoje zanieczyszczenia.

Po leniwych wakacjach w mglistym mieście pojechaliśmy jeszcze raz do Puyang na obiad z rodziną Yoyo. Tym razem miałem okazję jeść obiad z chińskimi wojskowymi, którzy przy obiedzie pokazywali sobie makabryczne zdjęcia z drugiej wojny światowej. Na zdjęciach tych japońscy żołnierze nabijali chińskie dzieci na widły. Wszyscy zgodnie twierdzili, że niedługo będzie wojna. Wojskowi nieporadnie próbowali nauczyć się ode mnie kilku słów po angielsku.

Podczas całego pobytu otrzymałem wiele bardzo drogich prezentów i też pierwszą czerwoną kopertę z pieniędzmi, mimo że mocno starałem się bronić przed jej przyjęciem. Mama Yoyo dała mi jedną dodatkową walizkę na wszystkie te rzeczy.

Pobyt na wsi chińskiej był ogromnie interesujący i bardzo przyjemny. Rodzice Yoyo odwieźli nas na pociąg i zegnali ze łzami w oczach, a mnie szkoda było wyjeżdżać. Z jednej strony cieszyłem się na powrót do Hong Kongu, do cywilizowanego świata, z drugiej strony zaś smutno mi było opuszczać tak ogromnie przyjaznych ludzi.